



Bardzo ciężki ostrzał rozpoczął się około 17 września i od tej pory poruszanie się po otwartej przestrzeni stało się niebezpieczne niemal bez przerwy, w dzień i w nocy. Na początku września w każdym kwartale były drużyny mężczyzn, Straż Obywatelska nosząca na rękawach specjalne opaski z emblematem, która po ogłoszeniu alarmu przeciwlotniczego bardzo się starała usunąć wszystkich przechodniów z ulicy. Ale po siedemnastym drużyny te przestały działać. W gruncie rzeczy nawet zaprzestano ogłaszać alarmy przeciwlotnicze – o nadciągającym niebezpieczeństwie informowało nas tylko radio, choć nawet ono nie mogło dzień i noc ogłaszać zamiarów niemieckiej artylerii. Codzienna porcja udręki wynosiła dla Warszawy od dziesięciu do trzydziestu tysięcy pocisków.

Ostrzał artyleryjski trwał całą dobę. Codziennie znajdowano na ulicach setki zwłok. Zazwyczaj grzebano je w pobliżu miejsca, w którym ludzie ci zginęli – na wąskim pasku trawy koło chodnika, na prywatnym podwórzu lub w parku miejskim. Każdego dnia ostrzał nasilał się w miarę, jak przybywało coraz więcej dział.

Innym zagrożeniem były spadające odłamki pocisków polskiej artylerii przeciwlotniczej. Mieszkańców Warszawy zaopatrzone w maski przeciwgazowe, ale ataku gazowego nie było. Natomiast żaden cywil nie miał hełmu. Setki ludzi raniły stalowe fragmenty własnych pocisków. Miliony masek przeciwgazowych dla zwykłych ludzi i żadnych stalowych hełmów. Ten sam problem istnieje w Anglii, Francji i Finlandii. Poważniejsze zagrożenie, przynajmniej obecnie, stwarza własna obrona przeciwlotnicza.